Nr. 47. We Lwowie, dnia 24 listopada 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bolesław Limanowski

z powodu książki: Socjalizm, Demokracja i Patrjotyzm, ku uczczeniu 40-tej rocznicy pisarskiej działalności Limanowskiego.

Czterdzieści lat pracy, stos książek napisanych, setki artykułów, jasność myśli, wiedza rozległa, tematy najbardziej żywotne, omawiane sumiennie, miłość gorąca do społeczeństwa swojego, szczególniej ciepłe uczucie do warstw wydziedziczonych; czterdzieści lat tułactwa, życie na wygnaniu i emigracji, całe lata samotności idejowej, wieloletni brak uznania — oto w krótkich słowach dzieje Bolesława Limanowskiego. Żaden typ, wytworzony przez beletrystę, nie wart takiej analizy, jak ów żywy człowiek, tyle w nim tkwi z duszy narodu polskiego.

Rąbek z zasłony kryjącej oblicze duchowe B. Limanowskiego, uchyla niedawno wydana jubileuszowa książeczka z powodu czterdziestoletniej pisarskiej działalności jego, zawierająca cząstkę autobiografji p. t. „Jaką drogą doszedłem do socjalizmu?“, a więc do ideji, do której przylgnęła dusza tego człowieka.

Limanowski urodził się w 1835 r. w majątku rodowym Podgórzu, w powiecie Dynaburskim, w polskich Inflantach, w gubernji Witebskiej, a więc na dalekich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Z kresów wychodzą u nas najdzielniejsi ludzie, gdyż to potomkowie rasy zdobywców, którzy rozszerzali granice Rzeczypospolitej, ludzie, którzy z sobą Polskę nosili, jej sprawie nie dawali za wygraną, chociażby byli sami wśród wrogiego dla niej otoczenia. Limanowski odziedziczył po nich umiejętność pozostania samym sobą, stania przy swym sztandarze, chociażby inni od niego odbiegli i za jakąś wytartą szmatę uznali. Od kilku dziesiątków lat stoi wytrwale Limanowski przy sztandarze niepodległości Polski i socjalizmie, chociaż przez pierwsze lata tego okresu nikt u nas o socjalizmie nie mówił, a przez lata następne socjaliści polscy, pod wpływem prądu zgody z losem, panującego w społeczeństwie naszem, wrogo do walki i niepodległości Polski się odnosili. Limanowski stał lata całe przy swym sztandarze, aż doczekał się, że oto wyrosło pokolenie, pojmujące, że tylko z dniem niepodległości „żyć zaczniemy“.

Limanowski był jakby ogniwem, łączącem przedstawicieli polskiej partji socjalistycznej z dawną emigracyjną demokracją polską, ale na ruchu socjalistycznym polskim nie wyrył piętna swej indywidualności. Złożył się na to szereg okoliczności, tkwiących tak w samej naturze Limanowskiego, jak i w warunkach naszego rozwoju. Nie będziemy dziś ich podawać rozbiorowi obszernemu, zatrzymując się wyłącznie na ciekawej postaci Limanowskiego.

Limanowski dzieckiem jeszcze, jak tyle innych polskich dzieci, marzył o sposobach wypędzenia Moskali z kraju. Następnie zetknął się ze szkołą rosyjską, ową policyjną Rosją, co przy pomocy nauczycieli-policjantów starają się przeobrażać młodzież naszą w wiernych carskich poddanych o duchu rosyjskim. Im wybitniej zarysowuje się indywidualność dziecka, tem większy konflikt zachodzi między nim, a szkołą. „W szkole zawsze byłem gotów do rokoszu“ — pisze o sobie Limanowski. Był czas w młodości Limanowskiego, gdy „szeroka rosyjska natura“ jego kolegów moskali wciągnęła go do hulatyki, „ich życie hulaszcze zaczynało mi smakować“. Ale ruch studencki z 1856 r. przebudził rewolucyjne uczucia Limanowskiego, dając inne ujście jego namiętnościom. W uniwersytecie moskiewskim była spora liczba około 600 Polaków, tworzyli oni odrębną organizację polską. Wykształcenie społeczno-polityczne młodzież polska ówczesna, jak i dzisiejsza zawdzięcza kółkom samokształcenia. Młodzież nie mogła zacieśniać swego wykształcenia politycznego przepisami policyjnego państwa. Kształ-

ciła się na zakazanej literaturze. „Czytaliśmy i studjowaliśmy Lelewela, Mochnackiego, Mierosławskiego“ — pisze Limanowski.

Jak tyle naszej młodzieży przed i po nim od chwili rozpoczęcia się gospodarki Rosji w Polsce, aż do dni obecnych, przeszedł Limanowski przez wygnanie. Za demonstrację 1863 r. w Wilnie zostaje wysłany najpierw do gub. Archangielskiej, następnie do Woronezskiej; wygnanie zabrało mu ogółem 5 lat. Czy był to czas dla Limanowskiego stracony? Na wygnaniu czytał dużo, przebywał ewolucję duchową. Rzeczy czytane na pustkowiu, wśród dni i nocy ciągnących się monotonnie, wśród braku innych wrażeń, oprócz wrażeń umysłowych, przemawiają do umysłu i do wyobraźni silnie. „Oderwany od życia narodowego, rzucony w zabitą — jak to mówią — deskami od świata, głuchą mieścinę, cierpiałem na brak wszelkich niemal wrażeń“. Powieść Hugo „Nędznicy“, czytana w samotności dawała mu to, czego „ówczesne życie moje dać nie mogło“. Z Comtem, który wywarł przeważny wpływ na Limanowskiego, którego socjologji poświęcił bardzo dobrą pracę*), zapoznał się Limanowski ze źródeł rosyjskich na wygnaniu. Na wygnaniu z rosyjskich miesięczników doszły do niego wieści o nauce i działalności politycznej Lassala. Kto wie, jak fałszywie, jak karykaturalnie i dogmatycznie odbija się w umysłowości rosyjskiej myśl zachodu, ten musi przyznać, że pewnym minusem w rozwoju Limanowskiego była cała ta różnica, jaką jest korzystanie bezpośrednie z myśli i życia zachodu, a branie jej przez niemetodyczną, niewydyscyplinowaną naukowo, barbarzyńską i bezwiednie carską myśl rosyjską. Ten minus to klątwa, która ciąży nad trzema czwartemi inteligencji naszej, w państwie cara zamieszkałej. Wyjechawszy na zachód, Limanowski zerwał styczność z produkcją społeczno-naukową Rosji, ale świadomej ich negacji w pracach jego nie znajdujemy. W tem leży jedno ze źródeł słabości tego pisarza. Brakowało mu zawsze pierwiastku nienawiści, który budzi myśl do niweczenia krytycyzmem wytworów wrogów. Limanowski podczas naporu u nas moskalofilstwa rewolucyjnego stał bezsilny, nie niweczył go krytyką, nie druzgotał ironją, bo sam wierzył w rewolucyjność Rosji. W książeczce swej: „Powstanie narodu 1863 r.“ uważa za dodatni wynik powstania „przymierze pomiędzy rewolucją polską i rewolucją rosyjską“. — Polacy pomagali organizować państwo nad Wołgą i Oką — (132 str.) W jednym ze swych artykułów z przed kilkunastu lat Limanowski ubolewa, że rewolucjoniści rosyjscy w ósmem dziesięcioleciu nie rozpoczęli powstania nad Wołgą. Zamieszki nadwołżańskie w 1864 r., o których wieści dochodziły do Limanowskiego w przesadnej formie przez towarzyszy wygnania, tak samo jak i on pragnących upadku despotyzmu carskiego, broniły od zwątpienia w sprawę polską, która wydawała się być utopiona we krwi, przez Bergów i Murawjewych przelewanej.

Natura Limanowskiego konserwowała jego uczucia i poglądy.

W młodości i w starości Limanowski był rewolucjonistą ze względu na sprawę polską. „Nasz program społeczno-polityczny streszczał się w dwóch głównych punktach: zbrojne powstanie i uwłaszczenie włościan“. — pisze Limanowski o swych akademickich czasach. „Społeczna rewolucja i powstania ludowe“ — oto program Limanowskiego późniejszy, program, do jakiego doszedł jeszcze na wygnaniu i jakiemu wierny pozostał dziesiątki lat. Niema tu sprzeczności zasadniczej, ale tylko zmiana, wywołana zmianą warunków.

Dla Limanowskiego socjalizm stał się religją, dążnością do jakiegoś innego, idealnego świata na ziemi. Jego *Historja ruchu społecznego XVIII. i XIX. st.*, to nie studjum krytyczne, pisane metodą naukową, to nie analiza tych stosunków społecznych i ekonomicznych, które zrodziły kierunek, reprezentowany przez tego lub owego pisarza socjalistycznego, to galerja osób, przez autora ukochanych: jedni stali mu się bliscy, bo tworzyli koncepcję innego porządku społecznego, socjalizmem zwanego; drudzy przez to, że byli mu drodzy, zostali wciągnięci na listę socjalistów. Stoją tam zszeregowani ludzie różnych czasów, różnych narodowości, różnych światopoglądów, ale oni są lub zostali przez Limanowskiego pasowani na obywateli idealnego świata — socjalizmu. Każdy z nich myśliciel wspaniały — każdy z nich niech pociąga do socjalizmu — oto cel autora. Zbyt oni są mu drodzy, aby mógł ich analizować. Nie trzeba jednak sądzić, aby uczuciowy pierwiastek był czynnikiem ujemnym w myśleniu. Dążność, rządząca całym światem organicznym, osiągania jak największych rezultatów przy najmniejszych wysiłkach, zmusza człowieka przyjmować na wiarę każdą myśl, każde słyszane twierdzenie; przyjęcie to jest tem trwalsze i głębsze, im bardziej dane twierdzenie odpowiada naszym uczuciom. Ale jeżeli uczuciowa strona nie może pogodzić się z danem twierdzeniem, wówczas im silniej włada człowiekiem, tem silniej pobudza myśl jego dla szukania contrargumentów, dla przeobrażenia sądu. Spencer zwrócił uwagę na to, jak klasowe i narodowe czynniki paczą częstokroć nowe sądy społeczne, my powiemy: nie paczą, ale przeobrażają, gdyż wpływ uczuć klasowych i narodowych wiedzie raczej ku prawdzie, niż ku fałszom, przyczyniając się do przeobrażenia różnych społecznych teorji, do ich rozwoju, której idealnym kresem ma być owa prawda objektywna, która może zawsze pozostanie nam nieznaną.

Pierwiastek uczuciowy odbił się dodatnio na rozprawie B. Limanowskiego *Kwestja narodowa a społeczna*, w której autor w 1883 r., tj. w dzie-

---

*) Socjologja Augusta Comte'a. Lwów. 1875 r.

więć lat przed powstaniem polskiej partji socjalistycznej zaboru rosyjskiego, która postawiła niepodległość polityczną Polski, jako warunek skutecznej walki o socjalizm, dowodził, że mniemanie, jakoby można było dokonać rewolucji społecznej bez poprzedniego uzyskania swobód politycznych, należy do metafizycznych fantazyj, które — niestety — wiele szkodzą rzetelnej pracy w zakresie rewolucyjnym. (str. 144 Socj. Dem. Patr.). Rzeczona rozprawa Limanowskiego pozostała niemal bez wpływu. Emigracja po 1863 r., to nie była ta armja, która w 1830 r. przeszła granice kraju w nadzieji powrotu przy sprzyjających warunkach do walki. To też nie mogła dać poparcia Limanowskiemu w walce z kierunkiem zgody z losem, który ogarnął społeczeństwo polskie na lata całe. Płytki pozytywizm warszawski jakaś mieszanina poglądów Bucle'a, Spencera i Darwina, mająca dać teoretyczne udowodnienie hasła „materjalne gromadźmy dostatki“, nie odpowiadały poglądom Limanowskiego. To też protestował on przeciwko nim w art. „Wzajemna pomoc“, w „Opiekunie Domowym“ w 1867 r., oraz w nadsyłanych do redakcji *Kłosów*, *Listach z Rosji*.

Nie podajemy dziś oceny działalności, ani prac Limanowskiego. Przypomnijmy tylko tę krzywdę, którą wyrządzono mu dwa razy w Galicji. Limanowski ma szczere sympatje do tej dzielnicy — „Galicji przypada zaszczytna rola stać się ogniskiem myśli narodowej“ — pisze Limanowski w artykule, „Jaką drogą doszedłem do socjalizmu“ (str. 133). W dodatku do „*Przeglądu Tygodniowego*“ Limanowski zamieścił objektywną, życzliwością cechowaną pracę o Galicji, rażąco inną od tych różnych elokubracyj o Galicji, jakie drukuje przeważnie prasa warszawska.

Limanowski ostatnich swych lat, resztek swych sił nie może poświęcić Galicji, bo go stąd dwa razy wydalono. Pierwszy raz uczynił to namiestnik Potocki, w którego nekrologach wspominano o tym niecnym czynie, a drugi raz, gdy przed kilkoma laty powrócił Limanowski, sądząc, że czasy i ludzie się zmieniły w Galicji, że wobec ruchu masowego socjalistycznego nie będą z dawną bezwzględnością ścigać teoretyka socjalisty. Ale na nieszczęście namiestnikiem wówczas był Badeni, który bez rozważenia sprawy wydalił steranego starca z Galicji. Trochę więcej przenikliwości, a mógłby się uspokoić hr. Badeni, że między psychologją B. Limanowskiego, a psychologją socjalistycznego ruchu Galicji zachodzą takie różnice, że pobyt Limanowskiego w kraju nie wzmocniłby tego ruchu w jego dzisiejszym charakterze.

Władysław Studnicki.

Ze Złotego Domu nad Wełtawą.

II.

„Bywają wspomnienia niesłychanie bogate w ciepło serdeczne — mówi p. Szubert we wstępie do szkicu o Modrzejewskiej. — Kryje się ono w nich, niby jedwabnik, w miękką przędzę zasnuty. Zwija się i trwa. Przez całe życie. Nie ulotni się, jak eter, lub zapach. Czas nie posiada nad niemi władzy. Ból ani cierpienia go nie stłumią, — szczęście nie zgasi...“

Do takich właśnie wspomnień, autor zalicza spotkanie z Modrzejewską. Dziesięć lat upłynęło od występów artystki polskiej w Pradze. Drugorzędne szczegóły i przypadkowe rysy zatarły się w jego pamięci, pozostało jeno wrażenie ogólne.

„Wrażenie to — dodaje p. Szubert nie zaniknie nigdy w mojej duszy i światłem ożywiać, żarem rozpalać będzie wspomnienia o tej, nad którą wyższej artystki słowa dramatycznego nie spotkałem nigdy w życiu.

„A widziałem ich dość, od początkujących do genjalnych, od sławnych do najsławniejszych... Żadna z nich jednak nie przewyższała Modrzejewskiej bogactwem wewnętrznego życia, ani też ekspresją dramatyczną.

„Sąd swój uważam i dla tego jeszcze za zgodny z prawdą, że nie wpływają nań czynniki uboczne, które bezwiednie nieraz porywają tłum, a nawet jednostki. Młodość, piękność, wrodzony wdzięk lub siła, barwa głosu każą nieraz widzieć artyzm tam, gdzie istnieją dopiero jego zawiązki, sztuka zaś prawdziwa jest jeszcze celem dalekim — niekiedy wcale nie dającym się osiągnąć.

„Z Heleną Modrzejewską wstępowała na scenę sama sztuka. Poznałem ją u zenitu, jak sądzę, zawodu artystycznego, lecz nie u zenitu życia. Ale artyzm, pełen blasku i mocy, bił z duszy tak młodej i świeżej, jak gdyby artystka dopiero co wstąpiła na scenę.

„Po wielkich momentach uniesień, gdy ściany złotego domu trzęsły się od burzy oklasków, Modrzejewska, odchodząc za kulisy, osuwała się nieraz, wyczerpana, na krzesło lub ręce bliżej stojących. Ale z pierwszym krokiem na scenę — bądź jeno dla podziękowania, bądź dla gry niemniej szarpiącej — znużenie znikało bez śladu z postaci i twarzy artystki, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej...

Urok niezrównanej gry Modrzejewskiej tkwi — zdaniem autora — w tem, że każda postać, przez nią odtworzona, żyje na scenie własnem życiem, którem ją obdarzył poeta-twórca. Nie jest to naśladownictwo artystyczne prawdy, jeno sama prawda.

„Rozumie się samo przez się — rozwija dalej myśl swoją autor — że wszystko, co widzimy na scenie — z wyjątkiem zasadniczych właściwości, fizycznych i moralnych, aktora — musi być wynikiem twórczości artystycznej, a więc było nim i życie, którem tchnęły postaci Modrzejewskiej. Twórczość ta jednak była tak skończenie doskonałą, że widz zapominał o sztuce i przeżywał wraz z artystką bóle i radości wymarzonych postaci — od pierwszej do ostatniej chwili.

„Z ukazaniem się Modrzejewskiej na scenie, widz rozumiał odrazu kim ona jest, jakie uczucia ją ożywiają i wnet, porwany potęgą jej czaru, zaczynał wspólnie z nią myśleć, czuć, żyć. Od pierwszego rzutu oka, można było dostrzedz — że użyję tu niewłaściwego wyrażenia — zasadniczy ton postaci. Z rozwojem akcji postać stawała się coraz plastyczniejsza, przybierała kształty i barwy, któremi sam poeta chciał ją obdarzyć, a tony drugorzędne dostrajały się do głównego i zlewały w potężny, porywający akord najwyższej prawdy i najwyższej — sztuki!

„Modrzejewska umie wcielać każde drgnięcie duszy, każde uczucie, każdą namiętność lub nastrój swych postaci. Nie zapomnę zwłaszcza nigdy dwóch momentów z jej gry w dwóch sztukach Szekspira, w „Wiele hałasu o nic“ i „Lady Macbeth“. Jako bohaterka „Wiele hałasu o nic“, Modrzejewska zjawia się w głębi sceny, zatrzymuje na chwilę i patrzy z żartobliwym uśmiechem na Benedykta, który stoi przed widownią. I ten uśmiech przekorny, ta niema gra, kilka sekund trwająca, starczą, aby stworzyć dookoła atmosferę dziwnie ciepłą, aby wywołać na scenie i w widowni nastrój podniosłego humoru. Naprawdę, czegoś podobnego nie zdarzyło mi się widzieć nigdy w życiu!

„W uśmiechu Modrzejewskiej, w wyrazie jej twarzy maluje się figlarność, budząca się miłość dla Benedykta, temperament ognisty. Gra tych uczuć, wyborna i subtelna, zdradza w jednej chwili całe bogactwo wewnętrznego świata artystki i odbija, niby promień słoneczny, od chmurnej postaci Benedykta — odbija tak jaskrawo, że aż olśniewa, porywa i wywołuje efekt, jakiegoby osiągnąć nie zdołał najdłuższy djalog. Wesoły nastrój, właściwy komedji, został tu wywołany z tak subtelną delikatnością i tak prostemi środkami artystycznemi, że — powtarzam — nie widziałem, nie pamiętam nic równego tej scenie.

„Wprost zdumiewający kontrast z tą chwilą tworzy występ lady Macbeth, gdy zjawia się wśród tajemniczych mroków nocy, nie zupełnie jeszcze rozbudzona, nawpół zaledwie przytomna i myje ręce, aby zetrzeć urojoną plamę. Gra twarzy, chód artystki, nieliczne jej ruchy mrożą krew w żyłach wpierw, nim się usłyszy pierwsze słowo z ust lady Macbeth — i działają silniej na nerwy, niż bodaj najświetniej odegrana scena tragiczna.

„Te dwa nieme momenty — w „Wiele hałasu o nic“ i w „Lady Macbeth — dają najlepsze pojęcie o grze Modrzejewskiej. Działa ona i porywa najpierw siłą wewnętrzną swego ducha“.

Po scharakteryzowaniu, fachowo umiejętnem, środków fizycznych i artystycznych Modrzejewskiej, autor tak mówi o jej dykcji:

„Dykcja artystki w prozie, czy poezji, idealnie wyraźna, sprawiała wrażenie muzyki modulacją i dźwiękiem głosu. Głos Modrzejewskiej nie posiada zbyt rozległej skali, główny jego urok stanowi giętkość, aksamitność i świeżość, pomimo długoletniej pracy. Słodki, dźwięczny, płynął wprost z piersi, zdawał się pieścić i całować słuchaczy. Głos to uroczny: podbija, czaruje, sprawia przyjemność bez względu na treść wypowiadanych słów. A gdy ucho zdoła uchwycić — obok dźwięków — i treść wyrazów, wówczas przyjemność potęguje się w rozkosz prawdziwą. Taki głos to skarb dla artystki...

„Usta Modrzejewskiej, o wargach proporcjonalnie wązkich, nie należą do bardzo drobnych, ta zaś właściwość fizyczna bywa nader pożądana dla aktora, a zwłaszcza dla artystki dramatycznej. Szerzej rozchylające się wargi chronią bowiem od wysiłku i naprężenia mięśni twarzowych, co się zdarza przy drobnych ustach ze szkodą dla mimiki, dla wyrazu uczuć.

„I w teatrze bowiem wrażenia wzrokowe odgrywają pierwszorzędną rolę i wpływają na całość sądu“.

Uwagi swe o Modrzejewskiej, jako artystce, które, niestety, w skróceniu zaledwie powtórzyć tu mogę, autor zamyka temi słowy:

„Modrzejewska, pomimo niezrównanej prostoty i naturalności gry, — pomimo olśniewającego czaru dykcji, nie jest ani modernistyczną realistką, ani deklamatorką, jakkolwiek rozpoczęła zawód artystyczny w dobie panowania deklamacji i jest bliższa tej doby, niż naturalizmu. Jest ona wyłącznie sama sobą, — jest Heleną Modrzejewską. To wszystko, co ten lub ów kierunek, ta lub owa szkoła dają artyście, jako wskazówki i środki pomocnicze, — przetrawiła w sobie, przystosowała do charakteru i właściwości swego talentu.

„W granicach tego talentu leżą — mojem zdaniem — i takie role, w których dramatyczność dosięga największego napięcia, a grający, porwany burzą namiętności, traci świadomość samego siebie. Tam jednak, gdzie chodzi o głębokość, tkliwość i czułość uczuć, — o siłę moralną, szlachetność i majestat, — tam artyzm Modrzejew-

skiej podnosi się do wyżyn wprost niedoścignionej doskonałości“...

— Tyle słów autora. — Czas rozstać się - choć to rzecz nie łatwa — z jego pamiętnikami. Szczęściem jednak nie nazawsze. P. Szubert przygotowuje do druku dalsze tomy „Wspomnień“, w najbliższym zaś opowie o wrażeniach z podróży po obcych krajach, a między niemi i po Polsce. Żegnać więc go należy radośnemi słowy: dowidzenia na — ziemi polskiej!...

M. W.

Powieść o Magórze

z cyklu „Tatry“.

Zdyszani, znużeni, stajemy u wejścia do groty. Z wnętrza jaskini dobywa się opar wilgotny. i wieje na nas przeraźliwym chłodem. Ciemno, — ściany mokre, od sklepienia odrywają się krople wilgoci. Gdzieniegdzie wiszą sople lodowe. Z latarką w ręku zapuszczamy się w te obszerne izbice skalne. Jest jakaś groza w tej pustce i w tem milczeniu. Może tu na noc zachodzi *on*, jak o niedźwiedziu mówią górale — w głosie ich brzmi wtedy nabożna trwoga dawnych czcicieli zwierząt. Może i teraz... może podniesie się z za którego słupa i z krwawą rozwartą paszczęką wyjdzie na nas...

— Zimno, i niemiło, nieprawda? To dziwne, że człowiek dzisiejszy ma taki wstręt do jaskiń, które były przecież pałacami człowieka dawnego. Ot, gdyby pani żyła jakieś tysiące, tysiące lat temu i była szczęśliwą małżonką jakiego jaskiniowca, grota ta byłaby waszem „*domem*“. Odwołuję się do znanej wyobraźni pani. Niechaj ona wywoła to widzenie. Krzywi się pani?

— A panu, czy uśmiecha się ten obraz?

— Ja myślę, że tu mogłoby być dobrze... w pewnych warunkach...

— Wyjdźmy już, zimno.

Napowrót ogarnia nas jasność dzienna. Nad głowami naszemi nie zwiesza się już, miljony cetnarów ważąca skała. Już nas owionął ciepły, życiodajny powiew górski.

— Niech pani patrzy, nasi chłopcy zakładają już ognisko. Tym nie chodzi o krajobrazy, ani o wrażenia. Przyszli w góry, by rozpalić ogień i uwarzyć *herbę*. Góralczyk i uczeń warszawskiego gimnazjum godzą się doskonale w pragnieniach i upodobaniach. Ot dzieciaki! Umieśćmy się tak, żeby dym nie gryzł nas w oczy. O tutaj. Oprze się pani o skałę. Staszek, a gdzie nasze pledy? Musi się pani okryć, bo to początek bardzo chłodnego wieczoru. Tak, dobrze. O czem pani myśli?

— Kto był Magóra?

— *That is the question!*

— Musi przecież górę tę osnuwać jakaś legenda?

— Musi? Wprawdzie nieznośni pedanci utrzymują, że Magóra znaczy poprostu: moja góra — nazwa ta dosyć często powtarza się w Karpatach - ale jeżeli pani twierdzi, że to jakaś legendowa postać... No. zapytajmy dziecięcia ludu. Staszek! Chodźno tu, smyku. Powiedz mi, dlaczego ta góra nazywa się Kopą Magóry?

— Eh, to tam nie wiedzieć!...

- A któż był ten Magóra?

Chłopak robi coraz głupszą minę i milczy.

— No, dziecię ludu, wracaj do ognia, uzbieraj gałęzi i uwarz nam *herby* w *kotliczku*, dużo *herby*, pamiętaj! Widzi pani! „Daremna praca, marny trud, bezsilne złorzeczenia, przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia! „Magóra się przeżył i nawet w legendzie nie istnieje już. Czemu pani tak milczy? Pieniny dalekie toną w złotej mgle — dziwnie subtelny ton. Pani nie patrzy?... Teraz złoto przechodzi w czerwień, w purpurę... tę krainę górską owiewa teraz krwawa mgła... Dawniej złoty, obecnie krwawy, daleki ten kraj nasz... jak w życiu. O czem pani myśli?

— Chcę cudu, co przeżyte kształty powraca do istnienia.

— Ha! Dla kogóż miałyby się dziać cuda, jeśli nie dla pani? Ale teraz *herba* gotowa. Napije się pani, a potem siądziemy przy ognisku i wywoływać będziemy ducha Magóry. Może przyjdzie widmo olbrzymie, blade, i stanie przed nami w krwawych żarach ogniska, w kłębach dymu... Chce pani?

— Tak.

— A więc, przedewszystkiem proszę okryć się cieplej i napić herbaty Dolać pani koniaku? Nie? Pani nie używa? Co do mnie, używam. A nawet w tej chwili potrzeba koniecznie, by pary alkoholowe buchnęły mi do mózgu i zapłonęły tam jasnem ogniskiem, w którego żarach narodzi się legenda.

— Wolałabym, żeby tam gorzał inny, nie alkoholowy płomień.

— A może i gorzeje taki, co spala na śmierć. *Nie wiedzieć*, proszę pani! Ale ten alkoholowy, to tylko fajerwerk, w którego blaskach ukaże się duch Magóry... Może jeszcze szklankę?

— Ależ nie, dziękuję! Milczał pan tak długo, zapatrzony w dal, myślałam, że objawi się coś nareszcie, a pan zapytuje o herbatę.

— To nic, to nic! Tylko teraz proszę o ciszę. Tak — dobrze. Ja sam mogę myśleć i mówić jednocześnie, tylko muszę mówić cicho, cichutko, żeby nie spłoszyć legendy. Alkohol już działa, już pali się bladym płomieniem.. No, chłopcy kłaść się! Przy dogasającem ognisku zbójnicy zwykle spać się kładą, a wy przecież pewno bawicie się w zbójników. Tylko wpierw uzbierajcie jeszcze trochę gałęzi... No dobrze, teraz cisza! Władek masz pled, okryj się! Staszek dosyć herby! Wypiłeś nicponiu trzy szklanki. Spijcie, dzieci, spijcie... Widzi pani te niebieskie ogniki, co włóczą się po popiele. Niech się pani ich strzeże, niech pani nie pozwoli, by ognisko życia spopielało i żeby latały po niem płomyki-wspomnienia. To okropnie smutne. Dorzucę do ognia, niech buchnie jasny, krwawy płomień, niszczyciel wesoły i silny. Tak, tak! Żadnych wspomnień! Chciałbym spłonąć w chwili najwyższego natężenia sił, o południu... Ciepło pani? No dobrze, dobrze! Niech pani nie marszczy czoła; już nie spytam ni razu. A czy mogę usiąść tu, u nóg pani? Skinęłaś głową, milcząca królewno, to dobrze. Zaczynam tedy.

— A najpierw, niech się pani przeniesie myślą — o drobnostkę, o kilka wieków — wstecz. Kiedyś tam, za Jagiełłów, czy za Piastów było w Tatrach inaczej, niż dziś. Wirchy... ach, wirchy, te były dzikie, samotne, skaliste jako i dziś, ale po dolinach nie snuli się żadni, z przeproszeniem, warszawiacy. Nie było też Towarzystwa Tatrzańskiego — nie wyrębywał nikt *Kosówki*, nie budował nowych *perci* — wydeptywały je owce i kozy, lekkim krokiem chadzali po nich zbójnicy. Lud tu był dziki i swobodny. Żył u siebie, zamknięty ścianą granitowych turni, a wieści ze świata nosiły mu tylko orły na skrzydłach i wichry. Olbrzymy rosły w tych górach — chłopy śmigłe, jak smereki, a silne! poprostu wyrwidęby jakieś. Duch też śmiały i dziki rozpierał im piersi i gnał do walki. Hej, hej! Biada kupcom węgierskim, co przez te wąwozy prowadzili wina w równiny na pańskie stoły. Drżał handlarz lichy, gdy mu nad głową, niby krakanie orła, rozległ się wesoły, dziki okrzyk zbójników, a w powietrzu zafurczały toporki.

W one czasy słynął w całych Tatrach Magóra. Najśmielszy był ze wszystkich, najdzikszy, najroślejszy, nad zbójnikami niby król. Nie było wirchu, na któryby się nie wdarł za kozicami, nie było gniazda orłów, którego by nie zdobył, gdy mu przyszła ochota. Pana żadnego nie znał nad sobą. Fantazji tylko słuchał własnej i głosów tajemniczych, co się doń odzywały, gdy został sam w pustyniach kamiennych, lub nad przepaścią schylony, łowił uchem nieuchwytne dla innych szmery. Do dziwnej duszy jego mówiła pustka — i otchłań mówiła

Bali go się zbójnicy nawet, bo mieli go za czarownika. On pierwszy, niewiadomo skąd, miewał zawsze wieści o przejeździe jakiego bogacza. Jego nigdy nie trafiła kula samopału, nigdy na najzawratniejszej ścieżce nie pośliznęła mu się noga. Pełnemi garściami brał skarby, klejnoty i rozrzucał między ubogi lud górski. Dla siebie brał tylko czasem beczkę starego węgrzyna, i przy ognisku, z towarzyszami zapijał słodki, silny trunek. Ale nie upił się nigdy, orla jego źrenica nie zmętniała ani na chwilę. Powodziło mu się wszystko, wszystko szło jak z płatka. Musiał znaleźć czar-ziele — mówili górale — i gotowi byli pójść za nim w ogień i w wodę. Pociągał ku sobie ich dzikie, nieokiełznane dusze jakąś wielką, tajemniczą potęgą. W zimowe wieczory, przy watrach płonących, opowiadano o nim długie powieści. Każdy dorastający chłopak marzył, że niedługo pójdzie pod rozkazy Magóry. Marzyły o nim i dziewczęta, ale daremno. Zbójnicki ten wódz rzadko kiedy schodził w doliny, a choć się i ukazał, na najpiękniejszą z pięknych ani spojrzeć nie raczył. Napróżno śmiały się do niego, napróżno zaczepiały spojrzeniem i słowem. Czasem odpowiedział spojrzeniem zimnem, jak lód, czasem pożartował, i wracał w góry obojętny, dumny. Mówili między sobą ludzie, że on tam w górach, gdzieś na najniedostępniejszem miejscu zamek ma kamienny, a w zamku kochankę, do której mu śpieszno, ale zbójnicy śmieli się z tych gawęd. Wiedzieli, że w górach zamku niema — A kto by go budował, gdzie? Ale wiedzieli też, że czasem Magóra odpędza ich precz od siebie, każe im zejść w doliny i w całych Tatrach zostaje sam. Dziwili się junacy, a między ludźmi szedł pogwar głuchy, że Magóra wtedy ze „złym“ się układa“.

Był między zbójnikami junak prawy, Tomek mu było, a szedł z prastarego rodu Gąsieniców. Ciekawość go paliła straszna, co też on król zbójnicki w chwilach samotności czyni? „Złego“ się nie bał, ale bał się Magóry, i zwłóczył długo, choć miał chęć okrutną przestąpić zakaz wodza. W końcu wytrzymać już nie mogący, wyruszył pewnej nocy ku stawom, ku Gąsienicowym. Na świtaniu zaszedł między turnie. Patrzy, a na Kościelcu, na samym wirchu stoi Magóra, ogromniejszy, niż kiedy, i spogląda w świat daleki, ku onym zorzom, co gdzieś tam wschodzą. Przy nim stoi cała jasna, jak ze mgły, pani biała. Zląkł się Tomek okrutnie, i schował za skałę, żeby go Magóra nie dojrzał, ale z za skały wyglądał jednem okiem. I widział, jak ta biała postać oplotła się Magórze koło ramion, koło piersi i poszli razem, jakby ich siła jaka przez powietrze niosła po wirchach, hen!... I tak bujali po całych Tatrach aż do słońca wschodu, a potem spłynęli niżej, przejrzeli się w Rybnem jeziorze, i jeszcze niżej, aż gdy pierwszy promyk słońca zczerwienił szczyty, Magóra z mglistą swoją panią zstąpili do tej tu groty. Ujęła ich cisza, ciemność, sen.

Tomek uciekał ku halom, ku dolinom, jakby przez „złego“ ścigany. Poprzysiągł też sobie, że przed nikim o całej tej historji słowa jednego nie wspomni, i żeby z własnej pamięci ją wymazać, jął się zalecać do dziewcząt.

Najpiękniejsza na całem Podhalu była Hanka Sobczakówna. Tomek rozmiłował się w jej czarnych, jak węgiel, oczach, w jej ustach koralowych. Ale dziewczyna ani na niego, ani na żadnego z junaków patrzeć nie chciała. Tęskny jej wzrok szedł tam, gdzie majaczyła wyniosła postać i orle pióro zbójnickiego wodza. Jednego wieczoru zawitał Magóra w doliny. Otoczony junakami szedł ku chacie Sobczaka. Wesół był. Nabrali zbójniki towaru. Kupiec był z daleka, nie z Węgier, wiózł perły, korale, cacka. Magóra szedł przez wieś, i rozdawał dziewczętom: tej chusteczkę barwną, tej kotliczek srebrny, tej pereł sznur, albo szpilkę szczerozłotą. Śmiały się doń za to wszystkie oczy, ze wszystkich ust mógł brać pocałunek. Na progu chaty stała Sobczakówna. — Hanko! — zawołał Magóra — dla ciebie korali najpiękniejszych sznur. Z morza wyłowione.

Ale ona odepchnęła go chmurna. Czarne jej oczy gorzały posępnem światłem.

— Weź sobie swoje korale! Co mi po nich?

— Sobczakówna! A cóżeś taka harda?

Spojrzała mu w oczy głęboko, strasznie.

— Słuchaj! Albo mię zabij, albo weź! — wyrzekła cicho, ale tak, że on usłyszał, i krew w nim chłodna zawrzała

Junakom swoim kazał iść dalej, a sam pozostał.

Wieczór był cichy i ciepły. Zbójnik pił rozkosz z koralowych ust Hanki. Nad górami migały złote błyskawice, i grom się rozlegał głuchy.

Poszedł wódz-sokół w góry, poszedł i nie wraca. Płacze Hanka, płaczą junaki śmiałe. Jakoż im bez niego? Kto ich poprowadzi, kto powiedzie? Rozeszli się szukać go po halach, po wirchach, po szczelinach. Tomek nieśmiało ku grocie się skrada. Przed grotą leży Magóra cichy, jakby spał, serce nie bije — nad sercem mała krwawa plamka.

I zapłakał lud podhalny po królu swoim, i zawyły po nim wichry górskie. Złożyli go junacy w grocie, grotę zawalili kamieniem, i został się sam, na wieczną już ciszę i na wieczny sen...

— I koniec już?

— Tak, to już koniec powieści.

— A więc?...

— A więc, źle jest mieć za kochankę mgłę białą! A więc nieszczęsny, po trzykroć nieszczęsny, kto ukochał nie kobietę z krwi i ciała, ale białego ducha szczytów i przepaści — nieszczęsny, kto z nią razem ku zorzom wschodzącym spogląda! Nie dotknąć mu już nigdy świeżych ust dziewczęcych. Biała pani mści się za zdradę śmiertelnym w serce pocałunkiem.

— Nie wątpię już, że gdy zjawi się przed panem Hanka i osrebrzona marzeniami królewna mgieł — pan... Hankę wybierze... Pan milczy?

— Wybiorę, pani, jasnego ducha szczytów i przepaści...

No chodźmy do domu!

Helena Ceysinger.

22)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Batiuszkow, owa wszystkim pamiętna „prawa ręka Bibikowa“, chciał bowiem nadać egzekucji, charakter prawdziwy „fety uroczystej, patrjotycznej moskiewskiej“. Przed godziną naznaczoną dla przyjazdu dygnitarzy, chciano wyprowadzić uczniów pensjonatu na korytarz, lecz ci rzucili się z jękiem żałośnym i łkaniem, przebojem nazad do sali, pomimo groźb dozorców; wtedy wpadł na taki pomysł nauczyciel francuskiego języka, „Jacot“, dozorca nad uczniami. Przemówił on do uczuć młodzieży, twierdząc, że chłosta taka jest to chrzest patrjotyczny, ona przynosi zaszczyt Polakom prawdziwym, powinniście się szczycić tem, mówił dalej, że macie w pośród starszych kolegów swoich patrjotów, zdolnych poświęcić życie za ojczyznę; a następnie, ażeby uczniowie młodsi pokonać mogli lęk i wstręt na widok krwi kolegów, chłostanych niewinnie, napoił ich winem mocnem. To was uspokoi, powiadał, bądźcie mężni, jak przystało na następców Konarskiego, uczcie się cierpliwie znosić katusze, wszak i was czeka los podobny. Malcy usłuchali, wypili sporą dozę wina, wyszli odważnie, stanęli na czele, połykali łzy pokryjomu i po skończonej egzekucji umoczyli chustki w krwi bohaterów tego dnia, na pamiątkę męczeństwa kolegów. Żaden z katowanych, pomimo że ich siekli żandarmi, moskale pijani, jak ci sami powiadali że „sierdieczno“, nie jęknął nawet przy egzekucji, pogryźli tylko z bolu ręce swoje, któremi zatkali usta, ażeby nie krzyczeć. Jeden z nich nawet zemdlał, wszystkich krwią oblanych wyniesiono na noszach, bo padali z bolu. Szostowski, Wejsztor, Wojnicz, gdy widzieli łzy w oczach kolegów, mówili do nich, „nie płaczcie bracia, ból i śmierć za ojczyznę cierpiane, budzić łez nie powinny“. Batiuszkow usłyszawszy rozmowę, zawołał „małczat'“, a zwracając się do otoczenia zapyta: „czto oni gawaryli“, ale odpowiedzi nie było żadnej, wyszedł chmurny, przekonawszy się, że

ta bestjalska feta patrjotyczna wywołała zupełnie inne uczucia, aniżeli te których się spodziewał. Kurator gimnazjum, lubiany powszechnie przez wszystkich uczniów, obywatel nowogrodzkiego powiatu, Tomasz Jodko, opowiadał później, że będąc zmuszony asystować przy kaźni, musiał wypić wódki „ażeby nie beczeć jak baba“.

Wypadek przedstawiony powyżej dowodzi bardzo jasno, że działalność alkoholu zmniejsza wrażliwość i że o tej działalności wiedzą wszyscy z własnego doświadczenia. To też wszystkie nieomal egzekucje krwawe, strzelanie do ludu, wogóle całe barbarzyństwo wojenne i myśliwskie odbywa się pod bezpośrednim wpływem alkoholu, dlatego też miewa się tak wielką tolerancję dla pijaków, pozostających w służbie wojennej; żołnierz wyjątkowo tylko nie pije, ogół ich pogardza kolegami abstynentami. Gdy miano w Irkucku rozstrzelać Szaramowicza i jego towarzyszy, musiano przed egzekucją upoić żołnierzy, odkomenderowanych na ten akt uroczysty, również gdy wysyłano oddziały wojsk na mordy i pożogi do siół litewskich, podczas ostatniego powstania, upajano regularnie żołnierzy porządną dozą wódki mocnej. Oficerowie gwardyjscy, wysyłani na łowy przechodniów po ulicach Warszawy byli zawsze pijani. Jestem przekonany, że przy dzisiejszych operacjach wojennych w Chinach działo się podobnie, że wszyscy oficerowie owych korpusów zwycięskich, wszyscy żołnierze są alkoholikami. To samo ma miejsce z Anglikami w Transwaalu, z Amerykanami na Kubie i Filipinach. Zbóje syberyjscy, wybierający się na łowy, jak to stwierdził sławny policjant Blinów w Irkucku, raczą się szczodrze gorzałką. Zwycięzcy Rossjanie z pod Warszawy, wykonawcy rzezi na Pradze byli wszyscy pijani. Suwarów, ów wódz tyle chwalony i wielbiony, ile był okrutny i barbarzyński, pił nałogowo, jak każdy oficer rossyjski. Pod wpływem wódki, w napadach wesołości alkoholicznej skakał i piał po koguciemu, ku uciesze swoich sołdatów.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Sprostowanie i uzupełnienie.

— W 3) odcinku Powstania Chochołowskiego na str. 243 wydrukowano w wierszu 4 od dołu w lewym łamie — mylnie; „świątynia drewniana“, zamiast murowana.

— Lipa trzechsetletnia, o której pisałem, również w 3) odcinku na str. 242 i 243, — niestety już legła pod razami siekier przed półtora rokiem. Kazał ją ściąć zmarły proboszcz chochołowski, rzekomo dla tego, że groziła upadkiem, Pień wykopano tak, że dzisiaj ani śladu nie ma z tego sławnego drzewa! Czasby doprawdy był, aby prawo wzięło w ochronę drzewa stare przed widzimisię jednostek! Może uwaga ta utkwi komuś z posłów w pamięci i doprowadzi do uczynienia wniosku odpowiedniego w Sejmie!

— W skutek wyrażenia przezemnie żalu, że nie mogę podać z braku materjału podobizny księdza Świętopełka Głowackiego — otrzymałem za pośrednictwem Redakcji „Kurjera Lwowskiego“ list od p. Józefa Reinfusa ze Starego Sącza z doniesieniem, że gotów jest pożyczyć fotografję ks. Głowackiego, aby zeń zrobić kliszę, W tem miejscu dziękuję Panu Reinfusowi za przysługę, która pozwoliła czytelnikom „Tygodnia“ poznać portret ks. Głowackiego.

Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski

Z pism i książek.

Stanisław Majerski: Mapa fizyczna ziem polskich (Europa środkowo-wschodnia) Lwów. Nakł. Tow. Wydawniczego.

Mapy takiej, jak ta, którą omawiamy, dotychczas, literatura polska nie posiadała zgoła. Już w tem leży ogromne jej znaczenie, w tem prawdziwa zasługa autora Autor, dobrze i chlubnie znany ze swej wielkiej ściennej mapy fizycznej Galicji, podjął się prawdziwie trudnego dzieła opracowania na podstawie kilkuset sekcji specjalnych map wojskowych trzech państw wielkiej mapy fizycznej Polski. Wielkie to dzieło, wykonane ze znacznym nakładem czasu, pracy i pieniędzy, spoczywa niestety ze stratą dla społeczeństwa i nakładców dotychczas w manuskrypcie. Karta o której zdaję sprawę, jest około dziesięćkrotnem pomniejszeniem owej karty wielkiej. Niechże ta mała, a tak nowa praca, przekona społeczeństwo o pożyteczności i omal niezbędnej potrzebie takiego wydawnictwa. Dziewięć odcieni barwy zielonej i brunatnej wyznacza polskie doliny, niże i zagłębia, góry, wyżyny i płyty, daje pojęcie o polskich dziedzinach fizycznych, wskazuje zawisłość granic dziedzin historycznych od rozmieszczenia obszarów fizycznych. (Nb. zalecam autorowi uwzględnienie poziomu 100 — 150 m. w drugiem wydaniu karty). Poznanie tej zawisłości ułatwiają napisy krain historycznych Polski, umieszczone na mapie. Dzięki temu mapka Majerskiego może służyć nie tylko nauce geografji ziem polskich, na którą, niestety, w nauce szkolnej nie wyznaczono stosownego, ba, żadnego czasu, ale nie mniej dobrze może być użytą jako doskonały środek pomocniczy przy nauce historji polskiej. Mapka niniejsza uwzględnia bowiem, nie tylko najważniejsze miejsca historyczne, ale i krainy historyczne polskie, które będąc przywiązane do pewnych odrębności fizycznych, muszą z pomocą tej mapy lepiej, niż jakiejkolwiek innej, utkwić w pamięci ucznia.

Niemniej szczęśliwą należy nazwać myśl umieszczenia obok polskich nazw współczesnych obcych, w miejsce dawnych polskich gwałtownie przez rząd pruski narzuconych.

Małych usterek w nomenklaturze i w rysunku nie podnoszę, zaznaczam tylko, że są, ale zgoła nie czynią ujmy całości bardzo dobrej, pięknej i zasłużonej.— Bodajby się rozeszła w tysiącach egzemplarzy i przekonała społeczeństwo o potrzebie tego rodzaju prawdziwie naukowych środków pomocniczych, bodajby umożliwiła zasłużonemu pracownikowi wydanie mapy wielkiej, w którą szereg lat życia i pracy bezinteresownie włożył dla dobra polskiej szkoły i nauki.

Dr. E. Romer.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.